Julian Tuwim

SOKRATES TAŃCZĄCY

JULJAN TUWIM

SOKRATES TAŃCZĄCY

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
WARSZAWA MCMXX KRAKÓW
Nakład Tow. Wydawniczego w Warszawie
Mazowiecka 12, Rynek Starego Miasta 11, Marszałkowska 143.

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta, 11.

ŻONIE

I.

WŁAŚCIWIE.

„Co on właściwie czyni, wrzeszcząc
śród kamienic?“
Stefan Żeromski „Charitas“.

Co ja właściwie czynię, tak cierpiąc, tak
się ciesząc,
Tak życia niecierpliwy, ku pewnej
śmierci spiesząc?

Co czynię, czyniąc wszystko? U kogo
służba moja?
Kto są ci wszyscy wokół? Skąd jestem
tu i kto ja?

Te smutki, te radości — cóż one im powiedzą?
O, Boże, Boże, Boże, ci ludzie nic nie wiedzą!

Te smutki, te radości — zasępią czy ukoją?
O, Boże, Boże, Boże, ześlij mi łaskę swoją!

I o co ja właściwie, o Panie, Ciebie proszę,
Gdy ku niebiosom Twoim stęsknione
oczy wznoszę?

NASZA MĄDROŚĆ.

Jakże ja cię będę uczył tej mądrości?
Myśmy ludzie cisi, myśmy ludzie prości.

Myśmy ludzie prości, ludzie nieuczeni,
Słowem-ogniem wszczęci, słowem-
ogniem chrzczeni.

Splotem słów chwytamy tajnię
w śpiewnym rymie,
U nas kwiatu—słońce, słońcu—kwiat na imię.

Lecz w tej naszej mowie, w tym
przedziwnym dziwie,
Świat się tak nazywa, jakim jest prawdziwie.

Bez ksiąg i bez nauk, lecz w zadumie niemej,
My jedyni jeszcze coś-niecoś tu wiemy:

O tych chwilach nocnych, co w bezkresy biegą,
Gdy widzimy cienie niewiadomo czego.

Zawsześmy na ziemi jednakowo młodzi,
U nas po ogrodzie jasny Zwiastun chodzi.

I do samej śmierci oddajem w pokorze
Bogu co cesarskie i Bogu co boże.

VANITAS.

Marność marności wszystko. Czy z ducha,
czy z ciała,
Czy ogrom pracy Bożej, czy kruche maleństwo,
Czy dokonanych czynów chełpliwość zuchwała,
Czy słów tajemne piękno i myśli szaleństwo.

Marność marności wszystko! Wieki i godziny
Jednakowym bezcelem mijają niezmiennie.
Głuchej nieskończoności wieczne narodziny
I wschody i zachody — codziennie, codziennie.

I tylko wieczna Prawda wiecznego Chrystusa
Jednem mgnieniem DOBROCI — wszystko
uprzytomnia!
A bez niej — obłęd chyba lub słodka pokusa:
Vanitas vanitatum et vanitas omnia.

PRÓBA.

Zostawcie mnie. Już dosyć. Już
dosyć wszystkiego.
Nie wiem nic. Chodzę, patrzę... Trwam.
Pamiętam wiele.
Nazywam świat. Bez echa, bez celu żadnego.
Wszystkie jutra przyszłości—oto moje cele.

Uparłem się i milczę. Czekam bez nadziei.
Różnie jest: myśli, drgnienia... Wiecznym
kołowrotem
Będą przychodzić jutra w niezmiennej kolei,
Aż jedno z nich nie przyjdzie. Wiem.
Pamiętam o tem.

Jest. I o nic nie pytam. Dosyć.
Trwam z uporem.
Już odejdźcie... Ku sercu skroń
zmęczoną kłonię...
Tylko Ty zostań przy mnie... Słuchaj:
dziś wieczorem
Na mych oczach wygasłych połóż jasne dłonie.

JESTEŚ ZNOWU...

Jesteś znowu! Mój Boże! Jak mi serce bije!
Jak mi się wzrok owiośnił! Jak
świat rozradował!
Tylem nocy Cię w snach, nazbyt
krótkich, całował!
Tylem dni dzień ten tęsknił, co
przyszedł i żyje!

I jest! O — teraz właśnie! Jest ten
dzień powrotny,
Wypłakany, kochany nowy dzień spotkania,
Dzień wszystkiej mej nadziei, całego czekania,
Gdym Cię piastował w sercu, stęskniony,
samotny!

I jakże to wypowiem? I jakiemu słowu
Powierzę ową radość, drżącą, niespodzianą,
Że obudzę się jutro z duszą rozkochaną,
Z uśmiechem szczęścia w ustach: „Jesteś!
Jesteś znowu!"

WSZYSTKO.

Oddać ci wszystko: każdy sen i drgnienie,
Każdy nerw ciała, każdy ruch i krok!
Przeszłość — to tylko o tobie wspomnienie,
Przyszłość — to tylko twój najświętszy wzrok!

Oddać ci wszystko: każde pulsu tętno
I grosz ostatni i ostatek sił,
Trwonić dla ciebie swą młodość namiętną,
Znaczyć ci drogę—krwią serdeczną z żył!

Zaprzeć się! Bluźnić! Z Judaszem paktować,
Żwir na twej drodze w miękki piasek gryźć,
Natchnioną wiarą zakrzyczeć: „Ach, prowadź!",
Gdy mi na własną każesz zgubę iść!

A potem — oddać ci ostatnie tchnienie,
Skonać spokojnie, wiernie u twych nóg,
I, wstecz spojrzawszy, wierzyć niewzruszenie,
Że tak — za Ciebie-m tylko umrzeć mógł.

SIÓDMA JESIEŃ.

Przyszła ciszą miłosierna ksieni:
Siódma jesień — najzłotsza, najsłodsza
Z wszystkich złotych i słodkich jesieni.

Moja jedna—jedyna—kochana!

Przyszła ciszą—drogą długich cieni,
Naszych cieni od dawnych jesieni,
I wszeptała się w nas, zadumana...

Moja jedna—jedyna—kochana!

Tyś ta sama—o siedem lat młodsza,
Prześwietlona, wypatrzona wzrokiem,
Smętniejącym w życiu z każdym rokiem
I stęsknionym tej świętej jesieni,
Co na zawsze się w dusze wpromieni!...

No i przyszła—najsłodsza, najzłotsza,
Przyszła ciszą—drogą naszych cieni...

Jeno patrzeć—a park się rozszumi,
Moja jedna—jedyna—kochana!
Jeno patrzeć—a lata dziecięce,
Moja jedna—jedyna—kochana,

Zaniemówią w nas szczęściem i trwogą
I wzruszeniem nam głos się przytłumi
I ściśniemy po raz pierwszy ręce,
Co już nigdy się żegnać nie mogą!
I znów, drżeniem z przed laty wzruszeni,
Rozwiośnimy się w pierwszej jesieni,
Moja jedna—jedyna—kochana,
Zawsze tamta i zawsze ta sama,
Z mojej pierwszej i siódmej jesieni!

JUTRO.

Teraz mnie właśnie przeszyła igłą-piorunem fioletowym tęsknota za jutrem i we krwi szybuje. Tuman wina i wielkie bicie serca. Noc i włosy Twoje: czarno-złoty erotyzm. Usta — usta — usta: mocne purpurowe ciosy szczęścia, jeden po drugim.

Och, gdybyś wiedziała! Mokry, zielony ogród, plusk deszczu i drzewa, konwulsyjnie ciskane wiatrem. Ale jutro—jutro tuman wina i wielkie bicie serca! Jutro—jutro sploty i rozploty, żar wieczoru i zupełność!

O, z jaką pasją tętni we mnie bunt! Jutro! Jutro! Pędzą chwile, sypią się, skaczą, jak sekundnik,— a każdą chwytam zwycięsko i za siebie rzucam: już jej niema! I znów: już jej niema! I znów! I znów!

Więc patrz, Ty daleka, jak się zbliżam do Ciebie! Turkot walki mej z czasem! Motor! Za siebie, za siebie każdą chwilę!

Już zachłystuję się pędem tysiąckrotnym! O, teraz tylko nie przychodź, bo w ramiona Twoje wpadłbym-uderzył stalowy i płonący, lecz wnet zawisnąłbym w nich, jak miękki trup, rażony potwornem szczęściem.

TYLKO TE CHŁODNE...

Tylko te chłodne, pogodne,
Przewiewne ranki jesienne,
(Liljowe astry jesienne)
Senne, łagodne,
Gdy w miłem szarem niebie
Wzrok rozczulony tonie:
Te ranki, te są dla Ciebie.
Byś w miękko wysłanym pokoju
Z liściasto-ptasią tapetą,
Blado-błękitna,
W tym właśnie dzisiejszym stroju,
Przez okno patrzała spokojnie
Na miłe niebo jesienne,
A na stoliku w wazonie
Niech będą astry liljowe,
Liljowe astry jesienne.

ZŁY WIERSZ.

Nie wiesz o tem. A był deszcz
I błądziłem po ulicy
I szukałem i czekałem
W żrącej, okrutnej tęsknicy.

Nie wiesz o tem. Byłem zły.
I poszedłem pić. I piłem:
Wódkę, koniak, wódkę, koniak,
I wesół, och wesół byłem!

Patrzaj: to jest nędzny wiersz,
Ale zły jest, zły i gniewny,
Bo czekałem, bo szukałem
W wieczór jesienny, ulewny...

TAMTĄ CHWILĄ...

Tamtą chwilą,
Niedocieczoną a natarczywą w tajemniczości,
Rozdarłaś mi wieczność moją
Na zawsze już, na zawsze...
(Piętrzą się marmurowe akordy żałobnej pieśni:
„Stała mi się wielka krzywda"...)

— Stała mi się straszna krzywda,
Gdziekolwiek pójdę,
Będzie się absurd-tryumf wrzynał
w bezsilny mózg,
W puste nic biję złemi pięśćmi
I mruczę tak śmiesznie:
Stała mi się wielka krzywda...
Rozdarłaś mi wieczność tamtą chwilą,
O moja jedyna!
Mruczę, chodząc echowemi krokami
po ciemnym pokoju,
W nagiej, wypukłej nocy,
O moja święta!

DJALOG.

Jeśli się zejdą w biały, biały sad prorocy,
Jakiż to sad?
— Święty...

Jeśli jest kwiat, co kwitnie, kwitnie o północy
Jakiż to kwiat?
— Tajny...

Jeśli o morzu gwiazda drżąca drżąco śniła,
Jakież to sny?
— Ciche...

Jeślim po Tobie płakał, płakał, moja miła,
Jakież to łzy?
— Smutne...

A dal, co miłość w niepamięci śle odmęty,
Jakaż to dal?
— Straszna...

A żal po Tobie—smutnej, cichej, tajnej, świętej,
Jakiż to żal?
— Chryste!!....

AKACJE.

Białe akacje tchną wonią opiłą
Pod nocą srebrno-modrą,
Jakgdyby innych kwiatów nie było
I wcale być nie mogło.

Te ciemne liście i białe kwiecie
Szelestnym szemrzą szeptem,
Jakgdybym żadnych głosów na świecie
Nie słyszał nigdy przedtem.

Tak przez gałęzie lśnią gwiezdne dale
I taki cichy ten wieczór,
Jakgdybym jeszcze nie kochał wcale
I tylko Ciebie przeczuł.

NIE MOGĘ CI POWIEDZIEĆ...

Nie mogę Ci powiedzieć, jaki to żal bezbrzeżny:
Dzień dzisiaj taki biały i taki bardzo śnieżny...

Nie mogę Ci powiedzieć, jak mi
ogromnie smutno!
Ale Ty pewno nie wiesz, co znaczy
słowo „smutno"...

Ach, pewno nie wiesz także, co znaczy
„żal bezbrzeżny"...
To nic... to nic nie znaczy... Dzień taki
cichy, śnieżny...

To takie moje słowa, co Ciebie mi zabrały...
A może i przyniosły...
...Dzień cichy dzisiaj, biały.

JESZCZE MI NAZBYT...

Jeszcze mi nazbyt jesteś anielicą
I duchem jasnym, na ziemię zesłanym,
Jeszcze mi nazbyt Bogiem tchnie twe lico,
Nazbyt zjawieniem mi jesteś świetlanym;

Jeszcze zbyt często zdziwionemi oczy
Patrzę na Ciebie z niepewnością świętą:
Czyli to dusza moja przy mnie kroczy,
A w twoje ciało tę duszę zaklęto;

Jeszcze zbyt często, jako lilja biała
Kwitniesz w mych myślach zwiewnem napomknieniem,
By się przed Tobą moja pieśń rozlała
Krwi purpurowej gorącym strumieniem.

LEGENDA AUREA.

1.

Z głębi błękitnej komnaty, z omroku cieni i ciszy, w którą rzucałem stęsknione oczy, mówiące: przyjdź! — w którą rzucałem bezgłośny gorący szept: przyjdź! — do której wyciągałem spragnione ręce, mówiące: przyjdź! — z głębi błękitnej komnaty wypłynie melodyjnie moja Legenda, moja Legenda, ciepło pachnąca szczęściem. Czule, najczulej położy mi rękę na czole — muśnie po twarzy — na ustach ją złoży (—o, pocałunku wyszeptany!—), a potem wróci do oczu i przymknie je dłonią, tak dobrze znaną, kochaną... Przechylę głowę, wesprę ją na jedwabnem ramieniu mojej Legendy, i spłynie mi do serca dziecinny, słodki sen. Powstaną moje dni minione, popłynie aksamitem myśli najcichsza opowieść o młodości, o tym co było, co już nie wróci, co się straciło...

Już mam zamknięte oczy. Już, jak szeleszczące szale niepokojących perfum, szemrze najdroższa baśń, wpleciona w moje sny pierwszym trwożnym uściskiem, wświetlona w moje sny promiennemi oczyma... Szemrze, szemrze, serdeczna...

2.

Dni złotych iskierek we krwi, złotych iskierek w oczach.

Wracam ze szkoły po list lila, list pachnący Twoją dalą, list, którego nigdy nie było. Potem, z uśmiechem w mózgu i kropelką Twych perfum na wardze, oddaję się, jak śmierci młodzieńczej, weśnieniu w wieczór wczesnej jesieni w parku. (O, jakżem blisko był wszystkiego, za czem zmęczone tęsknotą oczy moje biegną teraz na wieczne niezdobycie!). Rytmiczny namiętny szept serca wybija wyraźne chwile: już nie dzieciństwa, jeszcze nie młodości męskiej. Słodka palpitacja, zamieranie rozkochanych słów i krótki nagły płacz, po którym krzywda dyktuje fantastyczne listy. (Wrzucałem je do skrzynki pocztowej tak, jakgdybym naciskał guzik, powodujący eksplozję świata). Potem — kąt w ciemnym korytarzu i gorące wtulenie mokrej drżącej twarzy w wiszące na haku szare palto uczniowskie: jak rośna gałąź majowego bzu, pieści mnie ta zapłakana, uperfumowana klapa szynelu. Nazajutrz—biegnę ze szkoły, zdyszany, po list lila, list pachnący Twoją dalą, list, którego nigdy nie było.

3.

Było to wtedy, gdy ranki jesienne szumiały smętnie niedośnionemi snami o przyjeździe i wahały się pomiędzy tajemniczym zapachem Twej sukni i przejmującą melancholją młodziutkiej tęsknoty.

Wciskam się, senny i pełen jeszcze nocy, w kąt, na ostatniej ławce. Hieroglify fanatycznych wierszy w bruljonie, zamazywane wstydliwie.

Miljon jednakowych myśli: gdyby! gdyby! gdyby!

Kilka słów Twoich dawnych, słów kapryśnie-obojętnych, ukrywa (bezsprzecznie!) poematy, dla mnie w głębi dziewczęcego serca tworzone, a przemilczane. Niebacznie przysłany płatek róży (jeszcze go mam!) staje się oczywistym dowodem, że wcałowałaś weń usta swoje, wcałowałaś tęsknotę za mną. (Wszystko w tajemnicy). Z „serdecznych ukłonów" na głupiej pocztówce—płyną natychmiast hymny Twojej miłości. (Ostrożnie odklejam markę, pod którą leży skarb: dotknięcie Twych warg). Czczę zabobonnie święte fetysze: szpilkę od

włosów, martwy płateczek pachnącego groszku, wizytówkę rumuna (!!...„Mademoiselle! En désirant faire Votre connaissance“ etc... Tiberiu Pauceanu). Fotografia, zatarta od łez i pocacunków, zakrawa na bluźnierczy cud: jest kwitnącą Tobą. Imię Twoje pachnie grzechem i tuberozą, wieści o Tobie tajemniczeją w apokryfy, i coraz groźniej i okrutniej przeczuwam złotą burzę szczęścia pod szeleszczącą w ponury wieczór jesienny aleją lipową...

Były to obłąkane pogańskie dni, kiedy po raz pierwszy duszkiem wypiłem w zamkniętym na klucz pokoju buteleczkę brunatnej wódki i gdy, otrząsnąwszy się mściwie, w uniesieniu rzuciłem czterem ścianom przekleństwo, wyduszone gwałtem z gorejącego gardła.

4.

A byłaś wtedy Złotą Legendą, przyodzianą dla pozorów w czarną aksamitną suknię. Białozłote, kwitnąc, wypływało z miękkich fałd. Miało twoje oczy. Byłaś podobno żyjącą dziewczyną. Opowiadali ludzie, że nawet tańczysz. Sami „widzieli". Widzieli! Zdanie niedorzeczne. Pamiętam coprawda odbicie w lśniącej tafli fortepianu (w pokoju, gdzie milczało). Lecz gdybyś wtedy żyła, napisałabyś do mnie list lila, list pachnący Twoją dalą, ten list, którego nigdy nie było. Gdybyś żyła—przytuliłabyś się przecież w milczącym pokoju do zapatrzonego i struchlałego na myśl o... Już dzisiaj nie wiem o czem.

Jednem słowem nie mogłaś wtedy żyć i koniec. Byłaś eterycznem napomknieniem o możliwości istnienia i promieniowałaś *tymczasem* legendarną wonią listu lila.

5.

Bardzo mnie zadziwił ostry świst lokomotywy, która Cię w dal zabrała. Błyszcząca stalowa lokomotywa zabrała legendę. Dziwy.

To, że Cię niema, że wymyśliłem Cię tylko zamkniętemi oczyma, stało się wkrótce denerwującym pewnikiem.

Denerwującym przez wspomnienia.

Czyhałem na nie chciwie, niewolnik rocznic, cierpiętnik każdego wczoraj, marzyciel jednakowych jutr. Zaczęła się chytra rekonstrukcja wszystkiego, co choćby cieniem cienia Twego było, dziesiątem echem.

Odbudowywałem nieistniejące sytuacje; lotne przemknienia starałem się tyrańsko przeciągać w czasie; utrwalałem to, czego nie było; z fanatyczną zaciekłością powtarzałem kilka nic nie znaczących słów, dziecinniałem w szeptanych djalogach z fotografią; pracowicie chwytałem garściami wodę.

W letnie wieczory (—pomyśl! pomyśl!—) szukałem na ulicy białego boa, złotych, modrozłotych oczu. Wierzyłem, że ostatecznie znaleść muszę, gdyż (—Boże! Boże!—) znów wró-

ić do domu i z kropelką Twych perfum na wardze oddać się znów jeno weśnieniu w wieczór wczesnej jesieni w parku, jak śmierci młodzieńczej? Znów płacz serdeczny, spazm niepowstrzymany? Znów w beznadziei zasiąść do pisania któregoś tam listu, na który mi listem lila, listem pachnącym Twoją dalą, nie odpowiesz, Legendo, Legendo moja?

Wiedziałem, że znaleść muszę. I znalazłem. Późną nocą na pustej ulicy. Stanąłem.

Jak światło przez szkło, przepłynęłaś przeze mnie: wieczną, prawieczną melodją.

6.

Nazajutrz zastałem pod obrusem list. Serce podskoczyło mi do gardła, poczem zaczęło słodko, powoli wracać. Bulgotała w niem gwałtownie przestraszona krew. Szeleszcząca podszewka koperty otumaniła mnie zapachem lila... lilla... lililla...

Zatańczyły wykwintne litery, zakołowały słowa, popłynął pokój pląsem-zawrotem, a ja z nim-za nim, w windowem spadaniu, okrętowym kołysie, chwiejnie, słabo, przedśmiertnie... Kręciła się morsko ta karuzela pijana-pionowa wokół ćwiarteczki papieru lila, powtarzającej bezustannie w kółko bardzo bezwzględnym szeptem (czasem nagłym wykrzykiem) monolog taki:

. Tak — to ja — to ja jestem — widzisz przecież — głupi, głupi trallala — to ja — ten list, taki jestem jakim mnie widzisz, nie inny, nie, nie, właśnie taki, nic na świecie mnie nie zmieni (oho! wiem!), Titanic utonął, a ja jestem, głupi, głupi, te kilka słów, tu, przed tobą, te kilka słów, właśnie te, nie inne, przeczytaj jeszcze raz, zobaczysz, będzie to samo, nie może być

nic innego, gdyby było co innego, toby przy pierwszem czytaniu też było (błyskawica: a może — i zaraz rykliwy śmiech) oho-ho, oho-ho! — tak jest jak jest, tak jest jak jest, trata ta, trata ta, — i zapukała pukanina młotków maleńkich: tak, taktaktaktak, tak, tak, taktaktaktak...

I pękło, wybuchło konwulsyjnym płaczem, psiakrew!

7.

Rozdzierającym krzykiem, rozdzierającym serce, wołam Cię, zrozpaczony, szczęście niepowrotne, dniu wczorajszy, dzieciństwo moje! Niechaj mi ciebie chociaż sen powróci! Niechaj choć płacz przypomni tamte łzy, tamtą tęsknotę tej samej miłości!

Złota Legendo moja, męko lat chłopięcych! Zamknąć oczy, zapaść się w siebie samego, nie wiedzieć, tylko znów szeptać tak serdecznie: „Dlaczego nie przychodzisz, moja jedyna? Dlaczego mnie słyszeć nie chcesz, kochana moja? Wróć, przyjdź... masz ciepłe ręce... Wróć, przyjdź... (codzień żałosnym jękiem odzywała się syrena kolejowa), masz ciepłe ręce, a niema cię wcale, niema cię... a jesteś... a przecież wstajesz co rano (wiem o tem — gdzieś po za wszystkiem), na giętkie ciało wkładasz suknie, czeszesz się, podnosząc ręce... Przecież chodzisz tam w obcem mieście, dotykasz stopami asfaltu... Przecież otwierasz koperty i czytasz moje słowa oczyma, a potem wiesz, że to ode mnie... i myślisz moje imię...

i widzisz mój wygląd z za tysięcy wiorst kolejowego toru... Ach, już wiem! Można do ciebie dojść—prosto idąc szynami!!" — —

Było to odkrycie genjalne.

8.

Rozwalonym krokiem, ze spuszczoną głową, tuż przy murach, — chodziłem, chodziłem. Nikt nic nie wiedział. A daleko zaczęła już majaczyć złota mgła i modre promienie-płomienie. Już zaczęło być. Myt budził się. Zbliżała się zgroza głuchym hukiem podziemnym. Szła do mnie Legenda: — jak pięciopiętrowa kamienica szła na mnie wysoka, zaborcza, zwycięska, aby mnie, małego, w siebie wziąć i zabrać na zawsze.

No dobrze, chodź; weź. Będę chociaż warjatem i nic nie będę wiedział.

...Chodziłem, chodziłem rozwalonym krokiem, ze spuszczoną głową, tuż przy murach. I robiłem miny. I tak w głębi, milcząc, wykrzykiwałem imię. Ulica dzwoniła, świeciła, turkotała, szła.

9.

Ciepły wiew omdlałego przedwiośnia przymykał mi oczy na beztroskich wieczornych spacerach, rozwiewał mną, głaskał słodką czułością po rozpalonej od wyschłych łez twarzy. Kończył się wielki szarpiący płacz, tkliwością rozlewał się w ciele, miłem osłabieniem. Same do ust się łasiły atłasowe słowa, serdeczne wiersze, cichuteńkie skargi. Kwilił jeszcze smęteczek łagodny gdzieś w głębi i ucichał uśmiechem, spokojem. Zakwitało ubogie szczęście w zmęczonych myślach. I niosłem je ze spaceru do domu ostrożnie, troskliwie. Wracałem cichy z omdlałych przedwiosennych wieczorów zasypiałem tak, jakgdyby mnie ogród akacjowy we śnie czekał. Pamiętam.

Śniła mi się długa, płacząca śmierć.

10.

Nazajutrz owładał mną bezruch. Zapatrzenie. Co rano przesiadywałem w pustej jeszcze, wyfroterowanej cukierni. Piłem czarną kawę, patrząc daleko, na nic. Serce bardzo biło, oddychałem głęboko, nie wesoły, nie smutny, nijaki.

I nagle, bywało, mgnęło coś we mnie: „Taksamo było już niegdyś“. Budziła się wieczność. Odkrywały mi się pradzieje przedmiotów. Rozczulony byłem własną świętością. Słabłem i rozpływałem się w sferze nienazwanych przeżyć: wędrowałem w melodji — wzdłuż jej biegu. Nie myślałem. Zresztą, nie potrafię tego wyrazić.

II.

Jak trupiogłowa ćma, nie znosząca widna, wpłynęłaś w ciemność, gdzie szemrała ciężka upiorna muzyka dalekiej zabawy, tańca, wina, ach! mąciła mózgi, przepiękna moja! Wtedy byłem z boku, w kącie, wiedziałaś o tem, nie podeszłaś, tylko gięłaś kibicią, srebrniłaś dźwięczną melodją głosu z obcym, dziwne oczy zamglone mrużyłaś dla mnie przed jego oczyma, ciche słowa tajemniczyłaś dla mnie tuż przy jego ustach. W twoim walcu był śmiech, w rozkołysanym przeszepcie kroków, tuż koło mnie, było wiele świadomego okrucieństwa, księżycowemi włosami musnęłaś raz tylko, uśmiechem do krwi drasnęłaś, — i znów tam, daleko ode mnie, dla mnie, dla mojej męki w ciemnym pokoju, gdzie szemrała upiorna muzyka, krążyłaś w błękitnym nocnym walcu tak, jak krążyły od jasno-złotego szampana uparte błahe myśli Twoje.

12.

„Złota Legenda“. A jak to było?

Wyjechałaś—i zaczęła mi pierzchliwą wizją majaczyć nieprawdopodobna Twoja uroda: pierwszem wzniesieniem oczu po pierwszym pocałunku na roztańczonej wiatrem ulicy; potem — jakimś kołysem, który był Tobą; scherzem, które było Tobą; mną—który byłem Tobą.

Oczy miałem smutne, usta uśmiechnięte sennym uśmiechem trzepocącego w głowie snumotyla. Lekko było, drżąco i wtedo. I ciepło-niebiesko-wiosennie. Kolońską wodą co rano mocno nacierałem głowę.

A czyś Ty się doprawdy, tam, daleko, tak kołysała sobą, legendując muzyką cudownych ruchów, szopenizując niewysłowionym wzrokiem?

Czyś doprawdy spoglądała, stamtąd, zdaleka, zapłakana, wolno, wolno przechylając głowę w tył, i przymykałaś oczy, myśląc o mnie, idącym do domu po list lila, list pachnący Twoją dalą?

Taką Cię widziałem smutnemi osiemnastoletniemi oczyma. Siedem wiosen przeszyło

mi serce od tych pierwszych dni kwietniowych, a te oczy o całą wieczność są już smutniejsze.

Były dnie, które je tam na zawsze rzuciły.

Dziwem pamięci wskrzeszona, mgławisz się, ty Melodjano ze strasznego miasta, pyłem złotej, straconej baśni; żyjesz niemożliwością, z której powstałaś.

I w nią się obrócisz.

ZMĘCZONY BURZ SZALEŃSTWEM...

Mais, vrai, j'ai trop pleuré!
Rimbaud.

Zmęczony burz szaleństwem, jak statek pijany,
Już niczego nie pragnę, jeno wielkiej ciszy
I kogoś, kto zrozumie mój żal nienazwany,
Kogoś, kto mą bezsłowną tęsknotę usłyszy;

Kogoś, kto jasną duszą życie mi przepoi,
Iżbym w spokoju bożym wypoczął po męce,
Kogoś, kto rozszalałe serce uspokoi,
Kładąc na moje oczy miłosierne ręce.

Idę po szczęście swoje. Po ciszę. Do kogo?
Którędy? Ach, jak ślepiec! Zwyczajnie —
przed siebie.
I wiem, że zawsze trafię, którą pójdę drogą,
Bo wszystkie drogi moje prowadzą do Ciebie.

II.

LITANJA.

Modlę się, Boże, żarliwie,
Modlę się, Boże, serdecznie:
Za krzywdę upokorzonych,
Za drżenie oczekujących,
Za wieczny niepowrót zmarłych,
Za konających bezsilność,
Za smutek niezrozumianych,
Za beznadziejnie proszących,
Za obrażonych, wyśmianych,
Za głupich, złych i maluczkich,
Za tych, co biegną zdyszani
Do najbliższego doktora,
Za tych, co z miasta wracają
Z bijącem sercem do domu,
Za potrąconych grubijańsko,
Za wygwizdanych w teatrze,
Za nudnych, brzydkich, niezdarnych,
Za słabych, bitych, gnębionych,
Za tych, co usnąć nie mogą,
Za tych, co śmierci się boją,
Za czekających w aptekach,
I za spóźnionych na pociąg,
— ZA WSZYSTKICH MIESZKAŃCÓW
ŚWIATA,

Za ich kłopoty, frasunki,
Troski, przykrości, zmartwienia,
Za niepokoje i bóle,
Tęsknoty, niepowodzenia,
Za każde drgnienie najmniejsze,
Co nie jest szczęściem, radością,
Która niech ludziom tym wiecznie
Przyświeca jeno życzliwie —
Modlę się, Boże, serdecznie.
Modlę się, Boże, żarliwie!

ŚMIERĆ.

1.

Chmur schorzałych szare cielska
Nudę sypią na ulicę.
Siwa śmierć obywatelska
Puka w stęchłe okiennice.

Szyby drżą umorusane,
Jakieś szare, jakieś mgliste,
Domy smutne, drzewa pijane,
A zmiłuj się Jezu Chryste!

Duszą chmury, jak widziadło...
Płot-staruszek się pochyla;
Deszcz, wichrzaste czupiradło,
Zacznie padać lada chwila.

Ze spiekoty zżółkły zielska,
Co pod płotem w piachu rosną,
Siwa śmierć obywatelska
Jakoś minę ma żałosną.

Płot-staruszek z śmiercią gwarzy...
Czeka listu panna-młoda,
Pan aptekarz ziółka warzy,
Ostrzy brzytwy golibroda.

2.

Suną miastem jakieś strachy,
Nuda się po domach włóczy...
Ksiądz z doktorem grają w szachy,
Doktór sapie, ksiądz coś mruczy.

A w pokoju smętek chodzi,
W kąty zerka, w gratach szuka — —
— A wyjrzyj no pan dobrodziej,
Co za licho w okna puka...

„Tere-fere"... — Niby-niby...
„Szach królowi"... — Jest osłonka...
„Jeszcze raz"... — A nawet gdyby...
„Zaraz, zaraz — biorę pionka"...

Grają, bają, a śmierć czeka,
A śmierć siedzi koło płota,
Jeszcze myśli, jeszcze zwleka,
Ruszyć się jej nieochota.

„Ślicznie, ślicznie... idzie konik"...
— Idzie wieża... „Konik capie!"...
I coś mruczy ksiądz kanonik,
A pan doktór ciągle sapie.

3.

„Czemuś oczki zapłakała,
Moja Ty-y-y kochanko miła?“
— Rosła w polu brzózka biała,
Brzózkę burza powaliła...

Kumo, kumo, czas do dzieła!
Błysło... hukło... Deszcz już bryzga...
Śmierć pod boki się ujęła
I do płotu się umizga.

...Chmur schorzałych szare cielska
Strugi sączą na ulicę,
Siwa śmierć obywatelska
Puka w stęchłe okiennice.

— Dobrodzieju, ktoś tam puka...
(Doktór księdzu pionka bierze)
„A niech puka, a niech stuka!
Eskulapciu, biorę wieżę!“

— Dobrodzieju, ano trudno,
Zagapiłem się maleńko!
Twoja partja... (Nudno... nudno...)
„Dajno wina, Marysieńko!“

4.

A śmierć śmieje się, chichoce,
Taka straszna, taka blada...
Ku sąsiedzkiej starej kwoce
Czarna suka się podkrada...

Hyc! — skoczyła. Dusi gardło,
Łypie ślepskiem stara suka...
„Mój doktorze... dech mi sparło“...
— Dobrodzieju, ktoś tam puka...

„A niech puka! Nie otworzę!
Pijmy — nasza przyjacielska!“
(Moknie siwa śmierć na dworze,
Moknie śmierć obywatelska).

A pan doktór zbladł na twarzy:
— Księże, księże, do modlitwy!
(Pan aptekarz ziółka warzy,
Golibroda ostrzy brzytwy).

Drzewa jęczą, drzewa mokną,
Ktoś tam płacze, ktoś tam biada,
I skoczyła śmierć przez okno,
Taka straszna, taka blada...

NUDA.

Niedzielnych popołudni szare miejskie smutki.
Sucha nudna jałowość ulic i podwórek.
Przed domem—niezasiane żółknące ogródki.
W oknach—postacie brzydkich,
bezposażnych córek.

O, nudo, nudo, nudo! O, natrętna damo
Kancelaryjnych stołów i stacji kolei!
O, bezczynie, znużony męczącem „to samo!"
O, nudo, nudo, nudo wyblakłych nadziei!

Ach, niema na co czekać! czego się spodziewać!
Wlecz się, mieszczańsko-schludna
niedzielna godzino!
Będziemy sobie, nudo, starą piosnkę śpiewać:
„Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
a ja doliną,
Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą,
a ja kaliną"...

O CHORYM SYNKU.

Płakała nad nim matka
I płakał ojciec stroskany:
— Ach, nie opuszczaj-że nas,
Syneczku nasz kochany!

Załamywali dłonie,
Płakali trzy godziny:
— Podporo naszej starości,
Syneczku nasz jedyny!

A synek bredził strasznie
O morzu z okrętami,
A ci błagali, szlochali:
— Ach, zlituj się nad nami!

Ale nic nie pomogło,
Wciąż bredził strasznie i cudnie,
Aż umarł synek maleńki,
Umarł w samo południe.

Ach, nic pomóc nie mogło!
Upadli, krzycząc, na łóżko!
(Zbyt smutno było na świecie
Na jedno małe serduszko).

PIEŚŃ SOBOTNIEGO WIECZORU.

Hej, rozniesie się echo po szerokim rynku,
Kiedy mi buchnie z gardła pijacka pieśń szczera!
Pójdę dzisiaj wieczorem do dymnego szynku,
Uchleję się gorzałką, jak jasna cholera!

Trzasnę w stół twardą pięścią—a narwę się lichu,
Bo mi wesela trzeba na te podłe czasy!
Fajrant, psiakrew! Swoboda! Niech gniją
na strychu
Rachitycznych bachorów skręcone kulasy!

A wypiję—potłukę wszystko! I zapłacę!
Sam zapłacę! Co, nie stać mnie na bicie szklanek?
Stać mnie, wy, takie syny! Za swą czarną pracę
Mogę mieć dwa tuziny rublowych kochanek!

Tłukę—bo chcę! Bo fajrant! Wolność!
Bo mam władzę!
Hulaj, duszo, do rana! Z drogi! Dziś my pany!
A wyjdę z szynku—ręce do kieszeni wsadzę,
Zatoczę się szeroko po ulicy pijanej! — —

COLLOQUIUM NIEDZIELNE NA ULICY.

„Pani ma bardzo ładne czerwone usta,
Ale zdaje mi się, że są troszeczkę pomalowane.
Co za dziw? Wiadomo, że kobieta —
to istota pusta...
Puchu marny, jak mówi poeta...
To przecież znane.

Ale, proszę pani, czy to przeszkadza
prawdziwej miłości?
Pani pozwoli, że ją do domu odprowadzę...
Co? Pani nie zawiera na ulicy znajomości?
Nie rozumiem... Ja przecież pani nie zawadzę...

Skąd znam panią? To dobre! Widziałem,
jak z kinematografu
Wychodziła pani zeszłą razą w towarzystwie
gości...
Szukałem panią! Jak babcię kocham! A tu
trzeba trafu,
Że znowu panią widzę... Co za zbieg
okoliczności!

Pani wybaczy, że ja tak mówiłem na pani usta...
Ale, moja pani, w dzisiejszych czasach... Bo tak
— to mi się pani podoba,
Nie lubię, gdy niewiasta jest niesubtelna...
Są guściki i gusta,
A pani to w sam raz... Przepraszam, po kim
ta żałoba?

Szanowny tatuś pani powiększył grono aniołków!
Co za nieszczęście! Proszę pani, a kto
wspomaga matkę?
Stryjo? No no... Może pani przyjmie ten
bukiecik fiołków?
Może wstąpimy razem na herbatkę?“

NA WIEŻY.

Spojrzał—i w nieskończoność zatopił źrenice,
Niepojętą, a jednak przeczuwaną tajnie.
Zaśmiał się głucho w sobie... Gest nieokreślony
Nad przestrzenią uczynił—i o poręcz wsparty
Hypnotycznie, uważnie patrzał w wir daleki,
W rozognioną współczesność wieczornej stolicy.

I stało się to miasto organizmem, duszą,
Ad infinitum w bezmiar rosnącą! Ulice
Strzelały sobą w przestrzeń, rosły wielkie place,
Rozpłaszczały się rynki, rozłaziły gmachy,
Buchając skokiem pięter coraz wyżej w niebo,
Gromadząc coraz wyższe mury ponad sobą;
Urósł Kolos, w tysiące poplątanych sieci,
Drutów, słupów wpętany, zaryczał jak zwierzę,
Rozpękły się chodniki, zadzwoniły szyby
Okien, po za któremi wykrzywione twarze
Przerażonych mieszkańców śmiertelnie bielały,
Z załamanemi dłońmi zamarły postacie...
A tam, nad olbrzymami Rosnącego Miasta,
W piekielnych rykach zwierząt, z klatek wypuszczonych,
Śród pośpiechu rozpaczy i turkotu maszyn,

Puszczonych całą parą przez czerń rozbestwioną,
— Jak rakiety tryumfu, jak łuny zwycięstwa,
Rozciągnął Cham-Niszczyciel szkarłatne
sztandary!

Obłęd padł na mieszkańców, wybiegli
z swych domów,
Pędząc naprzód bez celu, kopiąc się i dusząc,
Krzycząc w ochrypłych modlitw bluźnierczej
orkiestrze,
W paroksyzmie skłębionych wizyi i koszmarów:
Panowie—prosto z balów, w eleganckich frakach,
Z rękoma, wplątanemi skurczem w siwe włosy,
Co nagle pobielały, aż mróz wstrząsnął ciałem!
Panie, panienki wonne—z oczyma strasznemi,
Wysadzonemi naprzód śmiertelnym patosem,
Rwały na sobie suknie, padały na ziemię
I jak suki jęczały, rzucając ustami
Zieloną wstrętną pianę, i trądem się kryły,
Białemi znamionami cuchnącej choroby!

Ty kotle wrzącej zgrozy! Ty zbrodnio! Ty zbirze!
Nadciągający Chamie! Monstrum bezforemne!

Kipiało! Ktoś zew rzucił: Rewolucja, bracia!
Wypełzła na ulicę czarnych ludzi chmara,
Śpiewając, nieśli przodem pokrwawioną szmatę,
Z więzień z dzikim tryumfem wypuścili łotrów,
Co na ulice wpadli, w ludzi zwartą masę,
Jak w kłębowisko żmijne, wtłoczyli się, nożem

Torując sobie drogę, drąc, grabiąc, aż wreszcie,
Sami choróbskiem tknięci, padali na ziemię,
W rumowisko kamieni, żelastwa i błota,
Śród ekstatycznej burzy światła płonącego,
Śród łomotu motorów, drgających jak ciała,
Śród rosnącej zagłady Rosnącego Grodu!

Skomlało coś... coś piskiem ostrym zajęczało,
Ryknęło hukiem kotłów pękających, buntem!
Powaliły się w gruzy Wielkie Akademje,
W uścisku ośmiornicy—Miasta Rosnącego!
Coś rozjęczało się grzmotem podziemnym...
Jak dzwony,
Zaczęły się kołysać wieże i kościoły
I, podnosząc się ciągle, padały strzaskane!
A tłumy się roiły, mrowiły bezmyślnie,
Rozpadając się, rosnąc, pęczniejąc potwornie,
Ostateczną chciwością życia rozjątrzone
Tarzały się na bruku ze skowytem chutnym
Pary w samczej lubieży najbezwstydniej skute,
A na cegłach, kamieniach, na obmierzłych
brudach
Zasiadały opryszki, ladacznice, zbiry,
Rajfury tęgie, starce sprośne i obleśne,
Wrzeszcząc na całe gardło hymny bogoburcze,
A Śmierć smagała w twarze czarnemi skrzydłami!
Stały się wszystkie czyny, od wieków czekane:
Najświętsze objawienia krzyczeli poeci,
Odwieczne tajemnice odkryli uczeni,
Pod brukiem rudy złota płynęły stopione,

Radu całe pokłady w trzewiach ziemi lśniły;
Bryłki czystej materji, kosmicznej energji,
Pod olbrzymiem ciśnieniem zwarte, zespolone,
Eksplodowały z trzaskiem nagłym, suchym,
twardym,
Na pierwiastki zaczęły rozkładać się ciała
I tyś panować zaczął, o Czwarty Wymiarze!

— — — — — — — — — — —

Stał i patrzał. Aż nagle poczuł, że sam rośnie,
Że mu tężeją barki, żelaźnieją ścięgna,
Że się wznosi, rozszerza!... że każda komórka
Ciała—staje się Sobą! i pędzi! wiruje!
Łączy się z miljardami innych—silniej, ściślej,
Jakby krzyczała: „Jestem!! coś się staje, czyni!
Wieki się zespoliły w tę jedną godzinę!"

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

...I znowu nad Wodami krążył
Duch prawieczny...

WIOSNA.

(DYTYRAMB).

Gromadę dziś się pochwali,
Pochwali się zbiegowisko
I miasto.
Na rynkach się stosy zapali
I buchnie wielkie ognisko
I tłum na ulice wylegnie,
Z kątów wypełznie, z nór wybiegnie
Świętować wiosnę w mieście,
Świętować jurne święto.
I Ciebie się pochwali,
Brzuchu na biodrach szerokich:
Niewiasto!

Zachybotało! — — Buchnęło — —
i płynie — —
Szurgają nóżki, kołyszą się biodra,
Gwar, gwar, gwar, chichoty,
Gwar, gwar, gwar, piski,
Wyglancowane dowcipkują pyski,
Wyległo miljard pstrokatej hołoty,
Szurgają nóżki, kołyszą się biodra,
Szur, szur, szur, gwar, gwar, gwar,
Suną tysiące rozwydrzonych par,

— A dalej! A dalej! A dalej!
W ciemne zieleńce, do alej,
Na ławce, psiekrwie, na trawce,
Naróbcie Polsce bachorów,
Wijcie się, psiekrwie, wijcie,
W szynkach narożnych pijcie,
Rozrzućcie więcej „kawalerskich chorób!"
A!! będą później ze wstydu się wiły
Dziewki fabryczne, brzuchate kobyły,
Krzywych pędraków sromne nosicielki!
Gwałćcie! Poleci każda na kolację!
Na kolorowe wasze kamizelki,
Na papierowe wasze kołnierzyki!
Tłumie, bądź dziki!
Tłumie! Ty masz—RACJĘ!!!

O, ty zbrodniarzu cudowny i prosty,
Elementarny, pierwotnie wspaniały!
Ty gnoju miasta, tytanicznej krosty,
Tłumie, o Tłumie, Tłumie rozszalały!
Faluj, straszliwa maso po ulicach!
Wracaj od rogu, śmiej się, warjuj, szalej!
Ciasno ci w zwartych, twardych kamienicach,
Przyj! Może pękną—i pójdziecie dalej!

Powietrza! Z swych zatęchłych i nudnych facjatek
Wyległ potwór porubczy! Hej, czternastolatki,
Będzie z was dziś korowód zasromanych matek,
Kwiatki moje niewinne! Jasne moje dziatki!

Będzie dziś święto wasze, i zabrzęczą szklanki,
Ze wstydem powrócicie, rodzice was skarcą!
Wyjdziecie dziś na rogi ulic, o kochanki,
Sprzedawać się obleśnym, trzęsącym się starcom!

Hej, w dryndy! Do hotelów! Na wiedeński sznycel!
Na piwko, na koniaczek, na kanapkę miękką!
Uśmiechnie się, dziewczątka, kelner wasz, jak szpicel,
Nie jedną taką widział, nie jedną, serdeńko...

A kiedy cię obejmą śliskie, drżące łapy
I młodej piersi chciwie, szybko szukać zaczną,
Gdy rozedmą się w żądzy nozdrza, tłuste chrapy,
Gdy ci kto pocznie szeptać pokusę łajdaczną, —

— Pozwól!! Przeraź go sobą, ty grzechu, kobieto!
Rodzicielko wspaniała! Samico nabrzękła!
Olśnij go wyuzdaniem, jak złotą rakietą!
„Nie w stylu“ będziesz—trwożna, wstydliwa, wylękła...

Wiosna!!! Patrz, co się dzieje! Toć jeszcze za chwilę
I rzuci się tłum cały w rui na ulicę!
Zośki z szwalni i pralni, „Ignacze“, Kamile!
I poczną sobą samców częstować samice!

Wiosna!! Hajda! — pęczniejcie! Trujcie się
ze sromu!
Do szpitalów gromadnie, tłuszczo rozwydrzona!
Do kloak swe bastrzęta ciskaj pokryjomu,
I znowu na ulicę, w jej chwytne ramiona!!!

Jeszcze! Jeszcze! I jeszcze! Zachłannie,
bezkreśnie!
Rodźcie, a jaknajwięcej! Trzeba miasto silić!
Wyrywajcie bachorom języki boleśnie,
By, gdy je w dół rzucicie, nie mogły już kwilić!

Wszystko—wasze! Biodrami śmigajcie, udami!
Niech idzie tan lubieżnych podnieceń!
Nie szkodzi!
— Och, sławię ja cię, tłumie, wzniosłemi słowami
I ciebie, Wiosno, za to, że zbrodniarz się płodzi!

O SKWARNEJ ŚMIERCI.

O, wielki mocny Boże, zmiłuj się nad nami!
Żółta, skwarna niedziela dyszała ospale, duszna i pusta.
I trupi zaduch mdlił w upale.
Fuksje, jak krople skrzepłej krwi, za oślepłemi zwisały oknami.
Blady majster w błyszczącym surducie,
Łzawooki śmiertelnik Ignacy,
Zapatrzył się, nastroszył krzaczaste brwi,
Zapinając niciane białe rękawiczki.
W rzemieślniczej resursie grają już strażacy.
Ksiądz proboszcz jeszcze śpi.
Fuksje, jak krople skrzepłej krwi, za oślepłemi zwisają oknami.
O, wielki mocny Boże, zmiłuj się nad nami!
O, Jezu przenajsłodszy, zmiłuj się nad nami!

W szarym skwarze usycha miasteczko...
Georginje pochyliły głowy...
Zwiędło sprażone kwiecie.
Blady majster w błyszczącym surducie,

Łzawooki śmiertelnik Ignacy,
Dziobaty, płowy,
Będzie dzisiaj przemawiał: jest obchód narodowy.
Jednocześnie związek fryzjerów-katolików świętuje dzisiaj pięciolecie.
W lokalu cechowym wisi uśmiechnięta „Fornarina".
(O, jaka wrzawa w mózgu, jaka wrzawa!
O, jak strasznie cicho upał płonie!)
Będzie także zabawa:
Śpiew, tańce, monologi, kosze szczęścia z fantami...
O, wielki mocny Boże, zmiłuj się nad nami!

Ksiądz proboszcz wstał z bólem głowy.
Wypukłe słońce wisi nisko, jak kula rtęci.
W kościele pełno.
Trupi zaduch mdli w upale.
Na ścianach kolorowi święci.
Pachnie fiksatuarem.
Czerwony spocony tłum
Dyszy
Żarem.
Pax vobiscum! Pax vobiscum!
(A już się wije w ścisku!
Już jest!!!).
Ukrzyżowany Chrystus ma zamknięte oczy.
Z pięciu ran krew broczy.

UMARŁ.

Jakgdyby nigdy nic:
Wieźli
Pospiesznie przez ulice,
Tak szybko, tak prędko,
Doprawdy—prawie kłusa,
Czarny krzyż nieśli
I ksiądz szedł zamaszyście,
Jakgdyby zwykłą szedł drogą.

A za karawanem
(Pomyślcie, pomyślcie!)
Nikogo nie było, nikogo...

Zawieźli go do ziemi i do Pana Jezusa.

A niewiadomo gdzie — w dali —
Jakgdyby nigdy nic,
Kiedyś tam, rano,
List dostaną.
Ach, jakże będą płakali,
Krzyczeli, rozpaczali,
(Nie wiem gdzie—w dali).
Postawią woskowe świeczki

W zżółkłych matowych świecznikach
I będą zbierali
Po szufladkach, kącikach,
Najświętsze pamiąteczki.

ROZMYŚLANIA.

„Niema tam, mociumpanie, lepszej
rzeczy w świecie,
Jak, panie dobrodzieju, w wieczór
chłodny, słotny,
Piwka sobie, ten tego, troszkę, jak to wiecie,
Kiedy człek, psiakrew, siedzi, jak kołek samotny.

Papierosika, owszem, zapalić nie wadzi,
Pociągnąć, panie tego, z kufelka czasami,
Pomarzyć, niby... tego... o Jadzi, o Władzi,
He-he-he! Stare dzieje! figle z pannicami!

Liścik, panie kochany, wydobyć z szufladki,
Różowiutki, cacany, aż serduszko mięknie,
Śród kartek zapisanych—zasuszone kwiatki,
Łezka, panie łaskawy... pięknie było, pięknie...

A potem, mociumpanie... tego... znowu łezka,
I, panie dobrodzieju, niby znów... i tego...
I łzy do kufla, panie... chroń, Matko Niebieska,
I płacze się, asanku, do rana samego!..."

HUMORESKA.

Noc czarna, krucza
Na ogród spadła,
Śmierć mi dokucza,
Chytra, zajadła.

Z chichotem czarta,
Z pychą papieża,
Patrzy uparta,
Zęby wyszczerza.

Mózg mi zamroczy
Czerwonym strachem,
Zasypie oczy
Drobniutkim piachem.

Potem, jak glista
Gruba i tłusta,
Okrągła, śliska,
Zatka mi usta.

Krwi tętna skrzepną
Dusznością sparte,
Oczy oślepną,
Strasznie otwarte.

Oniemieć, zgłuchnąć,
Zamartwieć mi przyjdzie,
Puchnąć i cuchnąć
W nagim bezwstydzie.

Kadłub mój zmarły
Opłaczą płaczki,
Będą mnie żarły
Małe robaczki.

Tak się zaroją,
Jak czarne mrowie,
Zeżrą pierś moją,
Zgniły mózg w głowie.

Głodem się wdłubią
W oczy nabrzękłe,
Chciwie wyskubią
Mięso rozmiękłe.

Zeżrą wnętrzności,
Stoczą je całe,
Zostaną kości
Suche i białe.

Teraz, dziewczyno,
Niech twe ramiona,
Ciepłe ramiona
Oplotą szyję,

Teraz niech w usta
Twoje się wpiję,
Błogosławiona,
Błogosławiona!

ŚMIERĆ MIEJSKA.

Utarło się śród ludzi mniemanie, że wygląda ona, jak szkielet czyli kościotrup. Zbielałe piszczele i czaszka z wyszczerzonym pyskiem: oto jej zjawa pono. (Długie ręce, przyciskające kosę do ziejącej pustką klatki torsu, układają się wtedy z humorem w pozę wstydliwej Venus Medycejskiej).

W tej postaci widziałem ją raz jeden tylko: pod okrągłym stolikiem kawiarnianych śpiochów. Ci niedołężni, astmatyczni złośliwcy, scherlali ślepcy, pogrążeni w zadymioną, rozstękaną atmosferę, której kolor graniczył już z bólem głowy, te śpiochy i szczochy, schylone nad mętną wystygłą herbatą, cała ta załzawiona i kaszląca brać z godną zastanowienia nonszalancją szurgała pod stołem staremi nogami; każdy nieostrożny ruch mógł przecież tę rozchichotaną kostuchę zamienić w kupę kości; rozsypałaby się z chrzęstem, żałośnie.

Raz jeden tylko, powtarzam, widziałem ją w tej postaci. A chcę właśnie powiedzieć, że ma ona, chytra, najrozmaitsze maski, z których jedna najbardziej mnie zastanowiła.

W duszne rozpalone dnie wlecze się ulicą i sapie. Jest to wtedy tłusta, rozlazła baba, skwarna Śmierć Miejska, z czerwoną, jak piwonja, błyszczącą twarzą. Poznaję ją natychmiast po rybich oczach i ociężałych ruchach nóg w rudych pończochach.

Więcej nic o niej nie wiem, gdyż nie odważyłbym się jej śledzić. Przechodzę zwykle szybko, z udaną obojętnością, nie oglądam się. Wiem jednak, że ona przystaje wtedy, odwraca się powoli i długo patrzy za mną bezmyślnie-kobiecym wzrokiem.

Ulice zaś są prawie puste, wymiecione skwarem.

PIJAŃSTWO.

Bladzi i zrozpaczeni, bełkocąc, siedzieli,
Aż ich w twarze trzepnęła krzykliwa
przygrywka.
Pijany lśnił—i dusił tłustą mdłość w gardzieli;
O małym, malusieńkim wyła stara dziwka.

Tak... on wie, co to znaczy! To ciszej, to głośniej
Przez te drzwi otwierane wpadała ulica.
Już było tak okropnie! A coraz nieznośniej
Skandowała mu w piersi męcząca czkawica.

Zapomnieli. Nie wiedzą. Nie znają się z nikim...
Tak niedobrze... tak biało kręcą im się mózgi...
Jak tam dojść? Tam, za ścianę... Tam
w wysiłku dzikim
Zaczną z ust tryumfalnie miotać ślizgie bluzgi!

Tam wyrzucą ze siebie przeklęte wnętrzności,
Oni, już konający, potwornie ciężarni!
Tam będą słodko szlochać w najtkliwszej
wdzięczności,
Trzymając się oburącz płynącej latarni!

Potem w sen runą. W mózgach będą im szumiały
Rojowiska skaczące, robaczywe łkanie...
Jak ciężkie kry, popłyną snów spłaszczonych
zwały,
Zgroza głupstw pogmatwanych, bzdurstwa
grube banie..

BIES I KSIĘŻYC.

Jest chuda, ciemna pani. Wstaje zwykle wcześnie, siada przy oknie i wygląda na ulicę, podparłszy kościstą ręką ostry podbródek. Za podwójnemi szybami kołyszą się kasztany. Tam jest jesień.

Drżącym brzękiem, szybko, lękliwie, bije zegar godziny.

Po obiedzie słońce rozlewa się po ulicy, rozlewa się męczącą wzrok złocistością. Błyszczą metalowe gałki na parkanie ogrodu.

Sterczą nieruchomo ozłocone kasztany.

A wieczorem przychodzi garbus w okrągłych okularach, głowę na bok przechyla, ręce zaciera.

„Paniusia, jak zwykle, co? Trzeba zapomnieć, trzeba się uspokoić! Taki to już bieg tego świata, paniusiu-dobrodziejko!"

Chuda, ciemna pani uśmiecha się po raz pierwszy: „Oh, mon docteur!... Zresztą, zaczniemy chyba?"

„Ano chyba, jak Pan Bóg przykazał", rozpływa się garbus w ukłonie.

Na palcach wchodzi lokaj, zapala świece

na fortepianie. A ci zaczynają grać—na cztery ręce — jakieś wzniosłe okrutne psalmodje genjalnego mistrza.

I w żółtem świetle świec skaczą dwie pary rąk po klawjaturze.

Wtedy właśnie Bies wpływa do pokoju na promieniu księżyca, przykucuje w kącie i słucha... i słucha...

MRÓZ NĘDZARZY.

Mróz siarczysty się wkręca w przetarte odzieże,
W palta, wiatrem podszyte, w rozdziawione
dziury,
Wtulamy zmarzłe uszy w przykrótkie kołnierze,
Wciskając się zawzięcie w nieprzytulne mury.

I cóż wam przyniesiemy, wy wonne i ciepłe,
Kapryśne, wypieszczone urodą kochanki?
Szorstkie, zgrabiałe ręce? Twarze sine, skrzepłe?
Lub zmarznięte, stwardniałe na mrozie gałganki?

Może skaczące wargi i nosy czerwone?
Może ciała skostniałe, szybko dygocące?
Lub oczy osłupiałe, oczy załzawione,
Słonemi kropelkami nieznośnie kapiące?

Szklany wiatr kraje twarze, sypie kłaki śnieżne,
Smaga świstem i bólem, jak ostre miotełki,
I szczypią, szczypią mrozu paznokcie drapieżne,
Kłują, kłują złośliwie palące igiełki.

Chuchaj i dmuchaj w palce! Miętoś wargi białe!
Och, trzęsiemy się, jęcząc w kamiennej agonii,

Biją o ziemię, skaczą już nogi zcierpniałe
I do tańca, do tańca skowyt w zębach dzwoni.

Zaczyna się pod murem taniec wybijany,
Podskoki niecierpliwe, pląsy histeryczne,
Na zziębłem ciele martwe trzęsą się gałgany,
Wyprawiając na wietrze harce ekstatyczne.

Ramionami bijemy nakrzyż zamaszyście
I tańczą coraz szybciej opętane nogi,
Mróz trzaskający strzela ogniście, siarczyście,
Aż w ciepło się roztapia, w błędny
zachwyt błogi.

I miękną za plecami oszronione ściany,
Wgarniają nas, jak ciepłe pożądliwe ciało,
Łaskocą atłasowo, jak skóra kochanek,
Rozkoszą pieszczotliwą, nagle rozszalałą!

I tarzamy się w puchach rozgrzanej pościeli,
W drgawkach tańca słodkiego płoniemy
nagością,
Zanurzamy się w mlecznej gorącej kąpieli
Oplotem ciał kipiących, tętniących miłością!

W rozprute purpurowe żyły szał nam wlewa
Gęstą słodycz likierów, roztopione złoto,
W dyszących żarem lasach wszczepiamy się
w drzewa,
Gdzie lepiące mięsiste kaktusy się plotą!

Pławimy się w lubieżnych, upalnych Saharach,
Grzebiemy się w wnętrznościach
pokrwawionej lwicy,
Smażymy się, jak skwarki, w słonecznych
pożarach
I tłuszczem rozżarzonym ściekamy z ulicy!

I niema nas! Pozostał tylko taniec wściekły!
Zmiótł nas wicher upalny w rozkoszy i skwarze!
— Patrzcie!! Na białym murze został
ślad zapiekły:
Krwią w ścianę się wtańczyli na mrozie nędzarze!

III.

EPISTOŁA SENTYMENTALNA.

I.

Cieplutko w moim pokoiku,
Milutko, jasno i wesoło,
Chcę Cię obdarzyć najłaskawiej
Sentymentalną epistołą.

Z pod abażuru zielonego
Przyćmionej lampy blask przyświeca,
Samotnie siedzę, gorzki wdowiec,
W miękkim fotelu koło pieca.

Popijam wiśniak, wykradziony
Kochanej matce ze spiżarki,
Piję dostojnie i spokojnie
Ze staromodnej czeskiej czarki.

I palę, palę... Może palę
Mosty za sobą, tonąc w dymie,
Gdy taśmą modrą, z ust puszczoną,
Piszę w powietrzu Twoje imię?

2.

Już mnie znużyły sny o mocy,
Zapałach, szałach, ideałach!
Więc się wyciągam, słodko drzemię
I o niebieskich śnię migdałach.

Śnią mi się psotne faramuszki,
Jakieś koszałki i opałki,
I te bajeczne, niemożliwe
Niebieskie śnią mi się migdałki.

I widzę Ciebie, jak zawzięcie
Mielesz je, tłuczesz, trzesz i drobisz
I pytam w strasznem przerażeniu:
„Najmilsza moja! Co ty robisz?"

A ty mi na to: „Nie przeszkadzaj
I nie zawracaj teraz głowy!
Szykuję na twe zaręczyny
Torcik niebiesko-migdałowy".

3.

Mam takie dnie sentymentalne,
Gdy w smutku miło mi, jak dziecku,
Czytam Dickensa, Walter Scotta
I czuję się po staroświecku.

I mam przygody nadzwyczajne,
Hece z ucieczką i z romansem
I tajemniczych nieznajomych
I długą podróż dyliżansem.

I widzę Ciebie—w krynolinie,
Jak onych czasów cne niewiasty,
I zapominam, że to przecież
Rok tysiąc dziewięćset szesnasty!

Biegnę na miasto, jak szalony,
Porzucam domu ciepłe kąty!
„Dyliżans! nie!... dorożka! jazda!
Starozamkowa pięćdziesiąty!"

4.

Przypomniał mi się twój pokoik,
Tak dawno, dawno nie widziany:
Pianinko, sofka, etażerka
I obrazeczków pełne ściany.

Śliczne kwiateczki, poduszeczki,
Książeczki (zwykle nierozcięte)
I lustereczka, firaneczki,
Dalekie wszystko, drogie, święte...

I krzesełeczka i stoliczek,
Mały stoliczek z szufladeczką,
Gdzie stos olbrzymi moich listów
Pod różowiutką spał wstążeczką.

...Kiedy podejdziesz do stolika,
Usłyszysz, jak szuflada zcicha
Za stosem listów, strasznych listów
W wielkiej tęsknocie ciężko wzdycha!

5.

Mój Boże! Czyżbym mógł zapomnieć,
Że w złotej klatce masz kanarka?!
(Sam przecież do ciemnego sklepu
Chodziłem z Tobą w deszcz po ziarnka),

U kanarkowej eskulapki
Brałaś gwałtowne konsultacje,
Jako że Maciuś nie chce śpiewać
I wpadł w zupełną rezygnację.

Nie wiem, czy dziś się lepiej czuje
Czcigodny Maciej melancholik,
Lecz sądzę... że powinien wzdychać,
Jak za listami memi stolik.

Macieju, stary przyjacielu,
Jeżeli jesteś uzdrowiony
I *teraz* śpiewasz—to mi wybacz,
Lecz to jest nietakt z twojej strony!

6.

Konacie, smętki żartobliwe
I żarty moje niewesołe...
Po dwuch tuzinach strof—zakończę
Sentymentalną epistołę.

Nie płaczcie, oczy... Ciszej, ciszej...
Skonała radość—rozpacz skona...
Bądź zdrowa, dawna i daleka,
Bądź zdrowa, moja utracona!...

Już wielka senność mnie ogarnia,
Usnę spokojnie, bezboleśnie...
Wiem, że nie będziesz mi się śniła,
Bo już przyjść nie chcesz nawet we śnie.

A jednak do snu mnie utulą
Dłonie dalekie, najłaskawsze...
— — — — — — — — —
A zegar cyka: „Nigdy, nigdy"...
A serce bije: „Zawsze, zawsze"...

Listopad 1916.

PIOTR PŁAKSIN.

(POEMAT SENTYMENTALNY).

WILAMOWI HORZYCY.

I.

Na stacji Chandra Unyńska,
Gdzieś w Mordobijskim powiecie,
Telegrafista Piotr Płaksin
Nie umiał grać na klarnecie.

Zdarzenie—błahe napozór,
Nie warte aż poematu,
Lecz w konsekwencjach się stało
Główną przyczyną dramatu.

Smutne jest życie... Zdradliwe...
Czasem z najbłahszej przyczyny
Splata się w cichą tragedję,
W ciężkie cierpienie—bez winy.

Splata się tak niespodzianie,
Jak szare szyny kolei,
W rozpacz bezsilną, w tęsknotę,
W bezbrzeżny ból beznadziei.

Jak odchodzące pociągi,
Jest jednostajne, codzienne,
Jak dzwonki trzy, wybijane
W słotne zmierzchania jesienne...

Przez okno spojrzy się czasem
W szlak dróg żelaznych daleki,
Dłońmi się czoło podeprze,
I łzami zajdą powieki.

2.

Otóż przy jednem z tych okien,
Przy aparacie Morsego,
Siedział Piotr Płaksin i—tęsknił,
A nikt nie wiedział, dlaczego.

Ani Iwan Paragrafow,
Kasjer na stacji, chłop z duszą,
(Ten, co się zeszłej jesieni
Żenić miał z panną Katiuszą).

Ani Włas Fomycz Zapojkin,
Technik, co ma już miesięcznie
Przeszło sto rubli (bo umie
Naczalstwu kłaniać się wdzięcznie).

Ani Ilja Słonomośkin,
Młodszy kontroler na stacji,
Co gwałtem chce do miejscowej
Wcisnąć się arystokracji.

Ani nareszcie nie wiedział
Sam pan naczelnik Rubleńko,

Prokofij Aleksandrowicz,
Co wypić lubił „maleńko".

A jeśli sam zawiadowca,
— Figurrra znana w powiecie —
Nie wie, to chyba nikt więcej
Nie może wiedzieć na świecie!

3.

A jednak były osoby,
Które wiedziały co-nieco:
„Szersze lja fam“ powiadały,
Czyli: za sprawką kobiecą.

Wierzyć poprostu nie chciałem,
Choć mi Warwara Pawłówna
(Konduktorowa) mówiła,
Że to przyczyna jest główna.

Mówiła w wielkim sekrecie,
Że to jest rzecz oczywista:
Że się w kimś kocha na stacji
Piotr Płaksin, telegrafista.

Święte ugodniki boże!
Batiuszki! Co za zdarzenie?!
Kogóż to kocha Piotr Płaksin?
Tanię, Anisję czy Żenię?

Olgę? Awdotję? Nastasję?
Wierę? Anisję? Nataszę?

Może Maryję Pawłównę?
Może Siemionową Maszę?

— Kogo?! Tę polkę z bufetu?!
Hospodi! Świat się przekręcił!
...A Płaksin siedział przy oknie
I tak, jak zwykle się smęcił.

4.

Na stacji Chandra Unyńska,
Gdzieś w Mordobijskim powiecie,
Technik, Włas Fomycz Zapojkin,
Przepięknie grał na klarnecie.

Czasem tak smętnie, jakgdyby
Trawił go żal najstraszniejszy...
A wtedy grywał przeciągle:
„Ostatni dzionek dzisiejszy..."

Czasem prześlicznie i słodko,
Jakoś łagodnie i czule;
A czasem dziko, wesoło:
O samowarach i Tule.

A pannie Jadzi z bufetu
Serce z wzruszenia aż mięknie,
Szeptała często: „Włas Fomycz,
Pan gra tak cudnie... tak pięknie..."

A technik wąsa pokręca
I oczkiem zdradnie jej miga:

„Jej-Bogu, głupstwo zupełne,
To dla was, panna Jadwiga!"

Ach, wzdycha Jadzia do grajka,
A grajek zwodnie jej kadzi,
I wzdycha jeszcze Piotr Płaksin
Do Jadzi ślicznej, do Jadzi...

5.

Wicher po polu się tłucze,
Huczy za oknem zawieja,
Włas Fomycz gra żałośliwie:
Och, żal mnie Ciebie, Rassieja!

Śnieg pada gęsty i gruby,
Wiatr w szpary okien zawiewa,
Panna Jadwiga, jak codzień,
Podróżnym wódkę nalewa.

Sroży się mróz trzaskający,
Dreszczem przejmuje do kości,
Siedzi Piotr Płaksin i pisze,
List pisze o swej miłości.

Pisze Piotr Płaksin do Jadzi,
Że jej powiedzieć nie umie,
Więc błaga w liście chociażby:
Niechaj go Jadzia zrozumie!

Pisze, że kocha ją dawno,
Jeno powiedzieć jej nie śmiał,

O tajemnicę ją prosi,
Aby Włas Fomycz się nie śmiał.

Pisze serdecznie, miłośnie,
Że kocha, marzy, wspomina!...
...I łzy padają na papier
Telegrafisty Płaksina.

6.

Jest smutne okno na stacji,
Skąd widać pola dalekie,
Skąd widać szyny, pociągi
I trzy drzewiny kalekie.

Skąd widać ludzi, co jadą
W dalekie, smutne podróże,
Skąd widać jesień rosyjską
I szare niebo—hen, w górze...

I jest niezmierna tęsknota,
I żale stare, banalne,
I oczy, bardzo dalekie,
I słowa, słowa żegnalne...

Ach, serce biedne, wzgardzone!
Ach, oczy śmiesznie płaczące!
O, łkania w noce bezsenne!
O, łzy miłości gorące!

„Nie dla mnie pan, panie Płaksin,
Dla mnie WłasｗFomycz, artysta

Z duszą poety marzącą,
A pan co?—Telegrafista!"

Czyta Piotr Płaksin i myśli:
„Poco-m ja komu na świecie?"
I myśli jeszcze: „Jak ślicznie
Włas Fomycz gra na klarnecie..."

7.

Na stacji Chandra Unyńska,
Przy samym płocie cmentarnym
Jest grób z tabliczką drewnianą,
Z krzyżykiem małym i czarnym...

A na tabliczce jest napis:
„Duszo pobożna i czysta,
Pomódl się... Leży w tym grobie
Piotr Płaksin, telegrafista".

IV.

SEN ZŁOTOWŁOSEJ DZIEWCZYNKI.

JAROSŁAWOWI IWASZKIEWICZOWI.

1.

Pani pachnie, jak tuberozy.
To nastraja i to podnieca.
A ja lubię tuman narkozy,
A najbardziej—gdy jest kobieca.

Mówię ładnie? I melodyjnie?
Zdania perlę, jak z pereł kolję?
Pani patrzy—melancholijnie...
Skąd ma pani tę melancholję?

Sen? Doprawdy? Jak dymu kółka?
Sen zmysłowy bladej dziewczynki?
Hebanowa lśniąca szkatułka:
Pomarańcze i mandarynki.

2.

Pani usta wtula w swe futro...
Pewno... miękkie jest to futerko...
Przeczulenie? Cóż będzie jutro?
Ach, cóż powie srebrne lusterko?

Podkrążone po balu oczy
I matowość pachnącej twarzy,
I sen zwiewny panią omroczy
I o wczoraj pani zamarzy.

Pani pyta, czy walca tańczę?
Ach, zatańczę... jak sen dziewczynki!
Mandarynki i pomarańcze,
Pomarańcze i mandarynki.

3.

O, dziewczynko! O, złotowłosa!
O, zmysłowa dziewczynko blada!
Sen się iskrzy, jak z papierosa
Dym, gdy w słońca złocistość wpada.

A tymczasem—po pustej sali
Pierot szuka zgubionej róży,
Z Leonelją tańczy Allali,
Leonelja oczęta mruży.

Gdy się bajka roztopi w mroku,
Przyjdą cudne, smutne dziewczynki:
Na obciętym położą loku
Pomarańcze i mandarynki.

REWIZJA.

Trzej—z uśmiechem i spokojnie. Grzecznie.
„Tak... A tutaj?... No a tu?...“ Szperali.
(A w kącikach ust—tak niebezpiecznie,
A w źrenicach—ostrza zdradnej stali).

Ten wyblakły—tępo smutny niby,
Lecz udaje. A drugi, w mundurze,
Klęczy, czyta. Przez wylękłe szyby
Trzecie oczy, oczy szpicla szczurze.

To? Odsunąć? Proszę!... (Coś tam w głębi
Z jękiem pada i przeciągle boli...)
Zwiędłe słówko... Zimny strach się skłębił —
— Aż wyciągnął! „Hm... Ta-a-ak...
Pan pozwoli...“

Z KINEMATOGRAFU.

Pan prokurator dostał ataku. W konwulsji
Drgając, upadł. I umarł. A Loulou zemdlała.
Wbiegł lokaj i strwożony zaczął badać puls jej,
Leżały na dywanie nieruchome ciała.

Potem, gdy docucono mściwą Loulou,
w trwodze
Zaczęła się tłumaczyć, że nie wie o niczem,
A trup prokuratora leżał na podłodze,
A Loulou stała z dziwnie zmieszanem
obliczem.

Było to w gabinecie. A w sąsiedniej sali
Hultajska banda z krzykiem kończyła kolację,
Więc trupa, by uniknąć skandalu, ubrali
I prowadzić zaczęli przez restaurację.

A gdy go prowadzili—to się strasznie śmieli,
Krzycząc: „Patrzcie, tak spił się, że chodzić
nie może!"
A tamci byli także szampańsko weseli,
W nos mu dawali psztyczki: „Spiłeś się
nieboże!"

I zatańczyła nagle w tingl-tanglu Zmora!
Zachichotały ściany w sali rozbestwionej,
Gdy szedł przez gwar i śmiechy
Trup Prokuratora,
Przez Loulou i lokaja pod ręce wiedziony.

ALKOHOL.

Te banalne walce kawiarniane
Urastają w tragiczne psalmodje!
Myśli moje, tańczące, pijane,
Ciebie w smętne wplatają melodje.

O, jak wyją te straszne walczyki,
Jak cię szarpią, wplecioną w męczarnię!
Oczy moje, jak ostre okrzyki,
Przeszywają gorącą kawiarnię!

Pięścią walę! Kurcz ściska mi palce!
Spazm tęsknoty (—o, przyjdź!—) w gardle duszę!
I te głupie kawiarniane walce
Rozpinają mi na krzyżu duszę!

Potem konam przy Tobie, kochance,
Co z tortury tych walców mnie wzywa,
Aż nas wreszcie, przy którejś-tam szklance,
Czarny sen, czarny wicher porywa.

TEATR.

Jest amant kanciasty, krawiecki manekin,
I chudy nieboszczyk i głupi arlekin
I jeden zdziwiony w kąciku.

Dlaczego pan płacze? No niech pan przestanie!
Nie można, doprawdy...—„Panowie i panie,
Ja cierpię!...“—(I zastygł w okrzyku).

Kostusia-chichotka z za kulis się śmieje;
Pan blednie? Drobnostka! Tak zwykle się dzieje!
Pan serjo uwierzył? To kpiny!

O... ten się zakrada... już stoi przy ścianie
I nożem rozpruwa frakowe ubranie — —
— Ach, patrzcie: trociny! trociny!

GROTESKA.

Królestwo współczesnego czarta, głupota, przed którą lęk chwyta, a często jawne szyderstwo i grymas, stężałe ad aeternam Diaboli memoriam w niezniszczalnego potworka.

Nasza tęsknota za groteską, nasz dreszcz, gdy ją czujemy, jest wyrafinowaną lubieżnością zepsutych, bezbożnych dusz europejskich. Mistyczny strach przed warjatem jest naturalny. Mistyczny strach przed idjotą (t. zn. człowiekiem głupim, jakimś panem mecenasem, doktorem, profesorem)—czarci, groteskowy. Olbrzymie, fantastycznie powyginane konary drzew w strasznie ciche noce księżycowe, przejmują zgrozą. Lecz to zgroza zdrowa, żywa, przyrodzona. Natomiast dziełem czarta, czyli groteską, może być byle sprzęt lub figurka, stojąca od lat na biurku, może być cały szereg ludzi, zwierząt, nawet spojrzeń i ruchów. Znam w mieście ludzi-djabłów. Nic nie mają wspólnego ze zwykłą postacią Kusego, lecz wiem, że to djabły. Tak samo, jak poznaję psy, które są żydami.

Nie tak groteskowy jest Dorian Gray, dłu-

biący w nosie, jak ów utuczony, lśniący i modnie ubrany semita, którego widziałem w Warszawie w cukierni. (Zaznaczę, że wśród żydów jest najwięcej czartów). A te pochody garbusów, flirty wielkogłowych krępych kretynów, ci masturbanci, kwiczący z rozkoszy przed posągami obnażonych bogiń antycznych, są jeno, że się tak wyrażę, anegdotami groteski.

Ona zaś sama, w całej swej istotnej okazałości, jest zwykle niepozorna.

Ot—spojrzenie, błądzące np. po kawiarni: blask lamp, ruchliwy tłum, brzęk, muzyka, szybcy kelnerzy... I nagle oczy zaczynają szperać: znika wszystko, zostają tylko kąty, kąciki, gdzie skaczą przykre punkty, punkciki, spojrzenie rozpryskuje się w tym szarym kąciku na tysiąc czartów, czarcików, i już za chwilę zastygnie to mrowisko, skurczy się, lub rozpłynie w głupi uśmiech, który, zda się, mówi: ja?—nie!... ja?... nic!...—Niewiniątko!

ŚWIETLIKI.

Ach, gwiezdna, wonna, świętojańska,
Ciemno-zielona noc słowiańska.

Niosą mnie lekko smętnolice
Bogunki ciche—Wspomiennice.

W paprociach błyski lśnią księżyczne,
Świecą fjolety fosforyczne.

Na konwalijne nocne smętki
Zapuszczam długie złote wędki.

Niosą mnie lekko Wspomiennice,
Zarzucę wędkę—ognik schwycę.

Aż noc mnie w sieć gwiaździstą złowi...
„Komu ja jadę?—Księżycowi".

PTAK.

Na gałązce usiadł ptak:
Zaszczebiotał, zatrzepotał,
Ostry dziobek w piórka otarł,
Rozkołysał cały krzak.

Potem z świrem frunął w lot!
A gałązka rozhuśtana
Jeszcze drży, uradowana,
Że ją tak rozpląsał trzpiot.

LIKIER.

Na szafirowem nieba tle,
W seledynowej lekkiej mgle
Księżyc.

Śnieg skrzy się. Słychać chrzęst i skrzyp,
Patrzy przez srebrne kwiaty szyb
Księżyc.

Jeszcze kieliszek! Widzę dno
I myślę sobie: „No-no-no!
— Księżyc?!“

KUSY.

Haj-jo! haj-jo! i-jo-ha-ha!
Krzyczę radośnie, dzikus leśny,
Djabeł ostępów, figlarz zwieśny,
Kusy, co wozy w rowy pcha!

Czerwony fraczek, czarci strój,
Zwodzi najzdrowsze ze wsi dziewki,
Na wierzbie siedzę, nucę śpiewki,
Jak słodko piszczy flecik mój!

Na listkach drga majowa gra!
Cyrograf w wodzie palcem piszę
I na gałęzi się kołyszę:
Haj-jo! haj-jo! i-jo-ha-ha!

V.

RANYJULEK.

KAZIMIERZOWI WIERZYŃSKIEMU

Powinienem z wiatrami po ulicach się włóczyć,
W tłoku miast, podchmielony, najradośniej się
chwiać,
Od andrusów, dryndziarzy, powinienem się uczyć
Gwizdać, kląć, pohukiwać na psiakrew i psiamać!

Od rynsztoka do ściany zygzakami się toczyć,
Ranyjulek! swobodny, bezpański, jak pies!
Sińce łapać na słupach, w zbiegowiskach się
tłoczyć,
Na parkany wdrapywać się wiosną po bez!

I kapelusz dziurawy liljowemi kwiatami
Na swą chwałę ustroić i na chwałę swą chlać,
I znów, w kwiatach się włóczyć po ulicach
z wiatrami,
Podnieść łeb, gwiazdy łykać i na nogach się
chwiać!

DO KRYTYKÓW.

— A w maju
Zwykłem jeździć, szanowni panowie,
Na przedniej platformie tramwaju!
Miasto nawskroś mnie przeszywa!
Co się tam dzieje w mej głowie:
Pędy, zapędy, ognie, ogniwa,
Wesoło w czubie i w piętach,
A najweselej na skrętach,
Na skrętach—koliście
Zagarniam zachwytem ramienia,
A drzewa w porywie natchnienia
Szaleją wiosenną wonią,
Z radości pęka pąkowie,
Ulice na alarm dzwonią,
Maju, maju! — —
Tak to jadę na przedniej platformie tramwaju,
Wielce szanowni panowie!...

SOKRATES TAŃCZĄCY.

Prażę się w słońcu, gałgan stary...
Leżę, wyciągam się i ziewam.
Stary ja jestem, ale jary:
Jak tęgi łyk pociągnę z czary,
To śpiewam.

Słońce mi grzeje stare gnaty
I mądry siwy łeb kudłaty,
A w mądrym łbie, jak wiosną las,
Szumi i szumi mędrsze wino,
A wieczne myśli płyną, płyną,
Jak czas...

Czego się gapisz, Cyrbeusie?
Co myślisz? Leży stary kiep,
Już do gadania słów mu brak,
Już się wygadał? A tak, tak...
Idź, piecz swój chleb.

Z zaułka śmieją się uczniowie,
Że się mistrzowi kręci w głowie,
Że się Sokrates spił...
Idź, Cyrbeusie, uczniom powiedz,

Że już trafiłem w samo sedno:
Że cnotą jest—zlizywać pył
Z ateńskich ulic! Lub im powiedz,
Że cnotą jest—w pęcherze dąć!
Że cnotą jest—lać wodę w dzbany!
Albo—wylewać! Wszystko jedno...
A jeśli chcesz—to przy mnie siądź,
Nie piecz swych bułek i rogali,
Będziemy sobie popijali!
No, trąć się ze mną, trąć!

Cóż ci to? przykro, Cyrbeusie,
Że mi się język trochę plącze?
Że się tak śmieję, Cyrbeinku?
Że w biały dzień w Atenach, w rynku,
Jak żebrak leżę, wino sączę?
Mędrcowi, mówisz, nie przystoi,
Gdy złym przykładem uczniom świeci?
Że stary broi,
Jak dzieci?
Że tłumu uczni nie gromadzę,
Że drogi prawd im nie wskazuję,
Nie radzę,
Nie filozofuję?
A tak... a tak...
Zło! Dobro! prawda? Ludzie, bogi,
Cnota i wieczność, czyn i słowo,
I od początku—znów, na nowo,
Bogi i ludzie, dobro, zło,
Rzeczpospolita, słowa, czyny,

Piękno—to, tamto, znowu to! — — —
Mój drogi—kpiny!

Słyszeliście od Herifona,
Żem jest najmędrszy... Tak orzekła
Wyrocznia, w całej Grecji czczona,
Blask chwały czoło moje zdobi!
Więc patrzcie, co najmędrszy robi:
O!
Bo cóż jest słowem a co czynem,
Bo cóż jest dobro a co zło,
Kiedym się złotym upił winem,
A mam kosmatą głowę psa
I w głowie zamęt obłąkańczy?!
Wy patrzcie, jak filozof tańczy:
I hopsa-sa i hopsa-sa
I hopsa, hopsa, hopsa-sa!
Wy patrzcie, jak najmędrszy tańczy!
Jak mu skaczą stare nogi,
Zło i dobro, ludzie, bogi,
Cnota, prawda, wieczna Mojra,
Hopsa, hopsa, idzie ojra!
Raz na prawo—hopsa-sa!
Raz na lewo—hopsa-sa!
Rypcium pipcium, chodź Ksantypciu!
A muzyka gra!!

Chodź tu także, Cyrbeinku,
Wokoluśko tak, po rynku,
Mędrzec tańczy, dalej z drogi,

Cnota, prawda, piękno, bogi,
Patrzcie, ludzie, patrzcie, gapie,
Od Ksantypci wały złapię,
Że tak we mnie wszystko drga,
A ja sobie hopsa-sa!
Tak bez końca, tak do śmierci,
Niech się jasne niebo wierci,
Tak—do góry, a tu kopsa,
I znów boczkiem hopsa, hopsa!
Nie żałować starych nóg!
Niech się cieszy wielki Bóg,
Że Sokrates prawdę zna,
Że już wie! że wszystko ma!
Że już poszedł hen, za kraniec,
On—najmędrszy, on—wybraniec,
Gałgan z brzydką mordą psa,
Poznał taniec, poznał taniec,
Hopsa, hopsa, hopsa-sa!!!

W WARSZAWIE.

Ustokrotnię swe oczy, upiję spojrzenia,
Puszczę je jak psy gończe w żmijowisko linij
Na tę orgję przestrzeni, na domów spiętrzenia,
Cyrklem szaleństwa koło cudowne zakreślę,
Ustokrotnię swe oczy, wokół je roześlę,
Niech pędzą, niech się wiją, przyziemnie a gibko,
Niech węszą, niech się wiją, obłędnie,
zachwytnie,
Śliskim pędem sunące, gnane miejską wrzawą,
W turkotnym rytmie, w rozgwarnym rytmie
Motorów-antychrystów, dorożek, spacerów,
W rytmie nierównym, w rytmie zmiennym,
Ciętym, krętym, śród alej i ulic i skwerów,
I już znów—skokiem—zwrotem—w dół
rzucone szybko,
Runą strzałem niechybnym, jak z procy,
przed siebie,
Drgające, upojone rozkoszną symetrją!
Tu będziesz tańczyć, moja poetycka geometrjo,
W tem fantastycznem mieście,—nie! w tym
śnie, wcielonym
Z rozmachem i patosem w labirynt uliczny,
W tej stulicej stolicy, rozstrzelonej gwiezdnie!

Tu czynem będzie popęd i orkan liryczny,
Tu będzie mi szeroko—przestrzennie—
rozjezdnie,
Tutaj się Duch Architekt radośnie potoczy,
Linjami trysną me oczy,
Kołami zawirują myśli me pijane,
W centrum stanę,
Gestykulując wzrokiem, ciskając źrenicą
Jak rozkazem: Hej, zatańcz, Warszawo, stolico!
Hej, porusz, porusz się, stolico!
Przewróć się w moich oczach, owężaj się, wiń,
Roztaczaj się, mozajkuj—i płyń—i płyń...

Ach, wiatry przedwiosenne, druhy niezawodne!
Ach, drzewa! Ach, kroczenie, alkoholu wiosny!
Ach, ozłoconych domów znaczące milczenie!
Płyń, płyń przeze mnie wszystko tym
ciągłym potokiem!
Płyń, płyń przeze mnie niebo niebieskie,
pogodne!
Ach, drzewa! Ach, kroczenie! Ach, wiewy-owieje!
— Prężny kroku! Skocz chwilą, raptownym
podskokiem,
Krwią do głowy! Znów chodzę—i śmieję się,
śmieję,
Zamykam oczy! Miasto wre we mnie symfonją,
Szaleje!
Bije w twarz akordami, skręca się, rozwija,
Cwałującym galopem rytmikę wybija! — — —
Z sykiem ulica rynek oplotła jak żmija,

Dalej—dalej—strzeliło siedem ulic z placu,
Rozbiegło się wesoło i przed siebie pędzi:
Jedna do wysmukłego wpłynęła pałacu,
Na wylot go przeszyła i na most się rzuca,
Rozpiera zwinne przęsła i hardość krawędzi,
Druga—gestem szerokim, szeroką krzywizną,
Zawadjackim zakrętem opasała kościół,
A trzecią na zygzaki połamane rozciął
Swawolny spad nad rzeką:—na chwilę przykuca
I—hop! na wał się rzuca! A czwarta, a piąta
Nie spotkają się nigdy i myśl ich nie splątą,
Szósta w ślepy zaułek w rozpędzie się wryła
I mur chce przebić, krzyczy i chce się przedostać
I po wieczność już będzie rozpaczą weń chłostać!

A siódmą—jasną w słońcu i prostą jak trzcina—
Idzie mi na spotkanie Dziewczyna, Dziewczyna:
Kołysze się na biodrach gędźbą tanecznicy,
Aż się domy kołyszą z obu stron ulicy!

DWA WIATRY.

Jeden wiatr—w polu wiał,
Drugi wiatr—w sadzie grał:
Cichuteńko, leciuteńko,
Liście pieścił i szeleścił,
Mdlał...

Jeden wiatr—pędziwiatr!
Fiknął kozła, plackiem spadł,
Skoczył, zawiał, zaszybował,
Świdrem w górę zakołował
I przewrócił się i wpadł
Na szumiący senny sad,
Gdzie cichutko i leciutko
Liście pieścił i szeleścił
Drugi wiatr...

Sfrunął śniegiem z wiśni kwiąt,
Parsknął śmiechem cały sad,
Wziął wiatr brata za kamrata,
Teraz z nim po polu lata,
Gonią obaj chmury, ptaki,
Mkną, wplątują się w wiatraki,
Głupkowate mylą śmigi,

W prawo, w lewo, świst, podrygi,
Dmą płucami ile sił,
Łobuzują, pal je licho!...

A w sadzie cicho, cicho...

PIEŚŃ O BIAŁYM DOMU.

Budowali Biały Dom,
Stupiętrowy Biały Dom,
Budowali dom szalony,
Stupiętrowy, marmurowy,
Na drabinach, rusztowaniach,
Wznosili piorunochrony,
By weń bił jaskrawy grom,
Jak w kościelne lśniące głowy,
Budowali Biały Dom!
Tłukł w marmury trwały łom,
I wznosili robotnicy
Wężom złotej błyskawicy
Dachy, wieże i kopuły,
Które przednie mistrze kuły
Swoim snom, strzelistym snom!
Budowali, budowali,
A gorzało słońce w dali,
Różowiło szmat ulicy,
I śpiewali robotnicy:
„Budujemy Biały Dom,
Stupiętrowy Biały Dom,
Stupiętrowy, marmurowy,
By weń bił jaskrawy grom,
Jak w kościelne lśniące głowy!"

A był jeden murarz młody,
Co niebieskie oczy miał,
Na czterdziestem piętrze stał,
I tak śpiewał murarz młody:
„A jak stanie dom gotowy,
Stupiętrowy Biały Dom,
Mało będzie moim snom,
Pójdę wyżej, pójdę dalej,
Bo się białe słońce pali,
Pójdę wyżej, zrobię więcej,
Stanie pięter sto tysięcy!“
I rozległ się śmiech murarzy:
„Zobaczymy! Jak Bóg zdarzy!“
I za boki się ujęli
I śmieli się, śmieli, śmieli! —

NA ULICY.

Być wysokim—hej, hej—jak to dobrze!
Naprzód iść—o ha—jak szczęśliwie!
Patrzeć w dal—o hej—jak to dobrze!
— Jak to dobrze, jak szczęśliwie
Ujrzeć w dali Ciebie-Jasną!

Wieczór jest—o tam—jak cudownie!
Lekki wiew, ciepły wiew wiosenny!
Naprzód iść—o ho—niesłychanie!
— Jak to dobrze, jak wesoło,
Kiedy Cię spostrzegam w dali!

Wolność! Świat! Hej, ja! Jasne oczy!
Hej ha! Idę sobie po ulicy!
O ho! Coraz więcej szczęścia!
— Jak to dobrze, że oboje
Mamy takie jasne oczy!

KWIECIEŃ.

Mój długi cień na asfalcie
Pławi się w złotych promieniach,
Znów chodzę w rozpiętem palcie
I trzymam ręce w kieszeniach.

Chodzę życzliwy, łaskawy,
Z czerwonym goździkiem w klapie,
Przed szybą każdej wystawy
Przystaję, jak miejscy gapie.

Przyglądam się byle czemu
Z radością niewysłowioną,
Dziękuję słońcu ciepłemu
I wiewom, co wonnie wioną.

Kiwa się głowa szczęśliwa,
O goździk nosem potrąca
I niucha wiosny zażywa
Beztroska, promieniejąca...

Kwiecień kołuje mi w głowie,
Świat ze mną kołuje cały!
Idź, palnij za moje zdrowie
Kielich siarczystej gorzały!

· POCHWALAM SPRAWĘ DWOJGA CIAŁ ·

Z niewiadomego rozkazu nagle wyciągam
ramię, by objąć świat:
I obejmuję Twą kibić—życiem uderza silnie
w tętnicach krew!
Szybko oddycham z radości, cieszy mnie
mocnych piersi dojrzały sad
I prężne, owocne biodra, pełne, krągłe, jak
trzony wiosennych drzew.

Urodna, rodna, miłosna, wkwitniesz w oploty
moje na żądny zew!
Przyjmiesz mnie w siebie z tryumfem, krwią
zakotłuje w sercach gwałtowny szał,
W śródbiedrze, siejby spragnione, tryśnie
wyczekiwany żywotny siew!
I mnie i Tobie pochwała! Pochwała sprawie
dwojga tworzących ciał.

ŻYCIE MOJE.

Krwi, snów, mknień, żądz,
Gór, chmur, drżeń, zórz,
Łez, chwil, róż, słońc,
Łkań, gwiazd, gróz, mórz — —!
O, życie moje!
O, życie moje!
Bierz, gub, trwoń, trać!
W lot, w śmiech, w gniew, w szał!
Żyć! śnić! drżeć! łkać!
Mknij, leć, pędź, wcwał!
O—życie moje!!
O—życie moje!!
Ból? Śmierć? Tak, tak!
Wiem, wiem: czar złud!
Nic, nic! Dzień—ptak!
W pęd! w lot! w wir! w cud!
O, życie, życie moje!

TREŚĆ.

I.

II.

III.

IV.

V.

UTWORY JULJANA TUWIMA.

Czyhanie na Boga, wyd. I (wyczerpane).
Czyhanie na Boga, wyd. II (w druku).
Rewolucja w Niemczech, satyra.